

SPORT JAKO UTOPIA KONKURSU RÓWNYCH SZANS, W PARADZIE WYMUSZANEJ RÓWNOŚCI

Użyte dwukrotnie w tytule słowo *równość* oznacza tożsamość ontyczną i moralną sportowców. Nie ma więc żadnej pomyłki. Obie równości są wymuszane na sportowcach przez sędziów-klasyfikatorów w gimnazjonie oraz sędziów-moderatorów w stadionie, dzięki czemu zachodzi prawdopodobieństwo, że finalne następstwo poróżnienia się w zawodach – objawiające się wyłonieniem prymusa spośród równych sobie (*primus inter pares*) – dokona się sprawiedliwie. Spełnienie postulatów obydwu równości wystarcza, by niemożliwe stało się możliwe; by zaistniała utopia sportowej sprawiedliwości. Przedstawiam model przyczynowy całego zajścia ku utopii sportowej, tłumacząc – w rozumowaniu regresywnym, idącym wstecz, ku najpierwszym, metafizycznym przesłankom – kluczowe racje (X) jego spełniania i niespełniania.

Ostatnie przypadki łamania porządku równości ontycznej przez całe tabuny biegających oszustów, wprowadzających nierówność moralną, pokazują, jak łatwo można wytworzyć stan antyutopii. I dowodzą jednocześnie nieodzowności działania dwóch kategorii strażników obydwu porządków: a) sędziów-klasyfikatorów w samym gimnazjonie, w którym sportowiec jest jeszcze ascetą, doskonalącym „całego” siebie ontycznie, ku stadionowej afirmacji swej postaci – na zasadzie zrównywania ontycznego użytkowników gimnazjonu, b) sędziów-policjantów antydopingowych – na zasadzie demaskowania oszustów, podstępnie wytwarzających nierówność ontyczną, oraz c) sędziów-moderatorów w stadionie, w którym asceta wchodzi w rolę aktora zawodów sportowych – na zasadzie zmuszania do udziału asceto-sportowców w „paradzie” równości moralnej. Obecność sędziów-klasyfikatorów, arbitrów-moderatorów, policjantów antydopingowych i wielu innych strażników obydwu porządków, z moralistami i humanistami włącznie, staje się tym bardziej nieodzowna, że uczestnicy zawodów już w dzieciństwie doświadczyli wulgaryzmu liberalno-demokratycznego (nie) porządku, wyzwalającego pokusę obchodzenia norm, łamania zasad, ośmieszania ideałów i wyszydzania autorytetów.

Najpotężniejszym przeciwnikiem konserwatywnego porządku sportowego są liberałowie sprzęgnięci z demokratami – ogłaszający światu wyższość

życia zindywidualizowanego, wolnego od zobowiązań i aspiracji moralnych. Ideologowie liberalno-demokratycznych ustrojów społecznych nie muszą dokonywać inwazji na sport, wystarczy, że wszczepią w mentalność społeczności stadionowej habitus wolnościowej „rozgrywki” autonomicznego życia. W konfrontacji z ideologią wolnej celebracji różnic i autonomicznych różnorodności konserwatywna utopia sportowego konkursu, zakładająca rygorystycznie udział każdego w równości moralnej, może ochronić swoje dobro w warunkach niezwykle wzmożonej aktywności strażników porządku ontycznego w gimnazjone, a pośrednio – porządku moralnego oraz porządku moralnego w samym stadionie i – pośrednio – porządku ontycznego.

Wypowiem najpierw komentarz do tematu sympozjum *Kultura fizyczna – różnice i nierówności społeczne*. Kiedy Organizatorzy podają hasło, dobrze wiedzą, że odzew zaproszonych będzie wieloraki: ilu odpowiadających, tyle odzewów; jeden niepodobny do drugiego, a mimo to wszystkie są jakoś na temat. Wystarczy, że wypowiedzą hasło, nawet nie temat – i to z pominięciem metodologicznej zasady hipotetycznego uzasadnienia źródła niewiedzy, luki w teorii, czyli pewnego niedostatku poznawczego po prostu – a już odzywają się *wszechwiedzący* socjologowie, filozofowie, etycy, pedagodzy, psychologowie i historycy kultury fizycznej, którzy przynoszą swoje odpowiedzi. Kiedy podają hasło, już wiedzą, że w jednoczesnym odzewie znajdą różne objaśnienia pojęcia przedmiotu poznania oraz wyjaśnienia przyczyn jego pochodzenia. Na koniec, kiedy będą składać *odzewy* do druku, sami osądzą, zasięgając opinii recenzentów, czy zawarte treści spełniają ich oczekiwania. Jak zawsze, będą zaskoczeni różnorodnością odzewów, tym razem w kwestii „różnic i nierówności” – co jest zrozumiałe samo przez się, przez fakt udzielania odpowiedzi z perspektywy różnych nauk teoretycznych, filozoficznych czy humanistycznych (stosujących przeciw różne racjonalności) – jak również dowolnością skojarzeń kontekstowych z tytułowym przedmiotem poznania, czyli właśnie kultury fizycznej z „czymś” jeszcze.

Zadaję sobie pytanie, czy można łączyć dowolnie ów przedmiot poznania, na przykład z kulturą sportową, i czy mój odzew w tej sprawie będzie komponował się z najszerzej rozciągniętą hasłowo treścią sympozjum. Pytam i sam odpowiadam, że system społeczny kultury fizycznej nigdy nie bytuje inaczej, jak w połączeniu z drugim (innym) systemem, na zasadzie łączenia się w parę (*coupling*), a jego połączenie z systemem kultury sportowej jest tak oczywiste (metafizycznie), jak uprawnione, choć niekoniecznie oczywiste byłoby rozpatrywanie kwestii „różnic i nierówności” kultury fizycznej i kultury muzycznej lub – jeszcze ciekawiej – kultury fizycznej i kultury baletowej, w której obyczaj homogeniczności płciowej zdaje się przeczyć logosowi prawa naturalnego i tym samym zagrażać społecznym mechanizmom międzypokoleniowego samostanowienia.

Do tematu tegorocznego sympozjum, pod którym umieszczam swoją wypowiedź o *różnicach i równości w społecznym systemie kultury sportowej*, przyjmuję dwa założenia metafizyczne, które uznaję za przesłanki wniosko- wania regresywnego, rozumowania wstecz, i przez które chcę wyjaśnić racje spełniania sportowego ideału, a wtórnice uzyskać wgląd w hipotetyczną przy- czynę jego fiaska.

Bez tych założeń rozumowanie w kwestii prawomocności utopii sporto- wego konkursu narażałbym: a) na pobłądzenie, a z drugiej, demaskatorskiej strony – b) na niemożność odsłonięcia przyczyn humanistycznego fiaska relacji stadionowej. Założenie pierwsze mówi o naturalnej heteropłciowości jako warunku heterokulturowości sportu, objawiającej się niezależnością sportu kobiet wobec sportu mężczyzn. Przesłanka zakłada, że substancjalna różnica cielesno-płciowa między kobietą i mężczyzną – istotowa, a zatem niewzruszalna – wyznacza praktyce agonicznej organizację dwóch niezależnych porządków społecznych, które mimo odrębności ontycznej są identyczne aksjotycznie, a więc uzasadniają się tym samym ideałem.

Założenie drugie mówi, że system kultury fizycznej sportu – zachowując dwubiegunowość, spolaryzowaną stosownie do zróżnicowanej kategoriałnie płciowości ascetek i ascetów – doprowadza obie społeczności gimnazjonu: żeńską i męską do równości ontycznej przed wejściem w rolę aktorek i ak- torów zawodów sportowych. Wszyscy uczestnicy gimnazjonu sportowego stają się sobie równi ontycznie pod względem cielesnych przypadłości, gdyż każdej i każdemu – stosownie do kategorii płci – przypisuje się procedury habilitacji cielesnej, uwzględniające aktualny wiek wzrastania osobniczego. Zrównani ontycznie asceci i ascetki gimnazjonu sportowego uzyskują dzięki tej polaryzacji takie same szanse dostępu do udziału w najwyższym dobru sportowej zabawy, jakim jest pławienie się w godności zwycięzcy. Równość ontyczna wytwarza równość sportową. Równość ontyczna zapowiada spra- wiedliwość sportową, gdyż zapewnia każdemu taki sam dostęp do najbardziej pożądanego dobra sportowego, jakim jest doświadczenie statusu prymusa. Kiedy z gimnazjonu wychodzą wszyscy jego uczestnicy z przeświadczeniem równości ontycznej – oczywiście, równości kategoriałnej i klasyfikacyjnej – by wziąć udział w zawodach, to mimo że agon sportowy jeszcze się nie zaczął, arbiter-moderator, jako naczelny strażnik stadionowego porządku w czystość *fairness*, ma prawo oznajmić, że zasadzie sprawiedliwości sportowej stało się zadość potencjalnie. Sędziowie-klasyfikatorzy wytworzyli bowiem sytuację potencjalnie sprawiedliwą, wytworzyli podstawy ludzkich zawodów, zanim się jeszcze sport dokonał; każdemu przyznali prawo do zwyciężania na zasadach równości ontycznej. Sportowcy jeszcze się nie poróżnili, a już wzięli udział w paradzie równości ontycznej. Dali się podzielić, czy też zostali podzieleni kategoriałnie i klasowo, by uczynić siebie równymi płciowo i substancjalnie,

także rozwojowo – na kategorii wzrostu osobniczego i sprawnościowego – na klasy i podklasy deficytów somatycznych oraz dysfunkcji ruchowych. Świadomie czy nie mieli udział w tworzeniu porządku sprawiedliwości sportowej, zanim stanęli do konkursu. Jako równi sobie u podstaw ontycznych, w samym konkursie będą mogli sięgnąć po wszelkie dobra, będące ich naturalną własnością: duchowości, rozumności i cielesności – wydobyć z siebie wszystko, co posiadli i co przez własne działanie udoskonalili, by wynieść się ponad ową równość wobec wszystkich ku niezależności w posiadaniu wyjątkowego statusu prymusa: postaci pierwszej, a więc różnej pośród równych sobie.

Oto dwa wspomniane założenia, poprzedzające wyjaśnienie, dlaczego system społeczny kultury sportowej urzeczywistnia ideał utopii konkursu równych szans, będąc zarazem – paradoksalnie – „platformą” celebracji różnic, ale również – znoszenia nierówności społecznych, a w innych przypadkach ich reprodukcji i utrwalania. Choć wszystko się w nim miesza, na zasadzie samokomponowania składników wysoce eksplozywnych, to nieoczekiwanie cała energia emocjonalnie zawiązywanych relacji agonicznych zostaje spożytkowana w samotworzącym się układzie spełnianego, a nigdy nie spełnionego ideału humanistycznego. Kiedy się wydaje, że musi być wojna, kiedy „różni” i „nierówni” przybywają na spotkanie, nastaje pokój. Sport jako system „życia chwilą” osiąga swój ideał: kiedy różni odkrywają przed sobą, że przynajmniej są równi sobie człowieczeństwem, albo raczej suponują, że z takimi mają do czynienia, jakim sami są wobec siebie: szanującymi własną godność moralną.

Pierwsza przesłanka rozumowania regresywnego zakłada nieodzowność heteropłciowego porządku w sportowej *praxis* i – tym samym – (samo) eliminowania homopłciowości wewnątrzsportowej (kobiet homopłciowych w sporcie kobiecym i mężczyzn homopłciowych w sporcie męskim) oraz międzysportowej (kobiet w sporcie męskim i mężczyzn w sporcie kobiecym). Jeżeli sytuacja sportowa ma się dokonać sprawiedliwie, to warunkiem jej zajścia musi być heteropłciowość sportowców w obydwu kategoriach płci. Dodam, że nie chodzi tu o segregację czy jakąkolwiek dyskryminację usprawiedliwianą ideologicznie.

Sport ze swej natury metafizycznej jest bytem relacyjnym jednostronnie nierównym: kiedy podmioty relacji nie są sobie równe, choćby sprawnościowo – osoba mniej sprawna bądź niepełnosprawna zostaje pozbawiona lub sama się pozbawia szans na zwycięstwo. Kiedy przegrywa, to albo sama rezygnuje z agonu, albo postanawia szukać dla siebie szans (na zwyciężanie) pośród równych sobie¹. Tak powstał sport niepełnosprawnych i sport specjalny, i jako

1 Czy nie z tego właśnie ukrytego powodu (wyjaśnialnego jedynie metafizycznie) sportowcy homopłciowi organizują sobie, w ramach swej kategorii seksualnej, niezależne zawody i turnieje. Czy.

taki zawsze będzie już współistniał współrzędnie wobec sportu cielesnie doskonałych – w rozumieniu metafizycznym – a więc sportowców jakościowo *zupelnych* w istnieniu i działaniu.

Dlaczego to rozróżnienie i różnicowanie jest ważne? Otóż, by mogło dokonać się sprawiedliwe wyłanianie najlepszej sportsmenki i najlepszego sportowca – każdej prymuski i każdego prymusa w swej kategorii heteropłciowej – agonistki/agoniści muszą być równe/równi sobie cielesnie, a więc tym samym płciowo: w zakresie somatycznym, genetycznym, gonadalnym i hormonalnym. Sportsmenki muszą być sfeminizowane hetero płciowo, a sportowcy zmaskulinizowani. By mogło stać się zadość sprawiedliwości w działaniu sportowym, kultura sportowa musi dzielić świat sportu na kategorię kobiecą i męską jako radykalnie – każdą z nich – homogeniczną. Heteropłciowy sport kobiet musi być organizowany homogenicznie – wewnątrz swej kategorii, jako „świat sportu kobiecego” – i tak samo heteropłciowy sport mężczyzn musi być tak organizowany, by jego świat w sobie był afirmacją homogenicznego maskulinizmu. Mieszkańcy cielesnopłciowi obecni w obrębie każdej z kategorii, bądź przenikający podstępem lub z niewiedzy do świata płci przeciwnej, czynią agon sportowy nierównym (w dostępie do zwycięstwa), a nawet niedorzecznym, a siebie narażają na moralne napiętnowanie. Można nie wiedzieć, że gonadalnie, genetycznie, a więc tym samym hormonalnie nie jest się kobietą/mężczyzną, na co nie wskazywałyby rozpoznawalne przez zmysły i rozum uzewnętrznione somatycznie płciowe przydatki. Kiedy jednak płciowość jest rozpoznana somatycznie, a mimo to zostaje zakłamana, na zasadzie jej samowolnego przedefiniowania, w świecie sportu dochodzi do oszustwa (Stanisława Walasiewicz). Sport jako konkurs nierównych sobie kategorialnie (w ramach swej heteropłci) agonistek/agonistów traci humanistyczną ważność. Płciowi mieszkańcy niweczą porządek aksjonormatywny świata sportu na podobnej zasadzie, jak niepełnosprawni fizycznie sportowcy – niewłaściwie skategory-

inaczej mówiąc, mężczyźni określający siebie homo płciowo nie dlatego uczestniczą w zawodach swej kategorii, że tylko w niej odnajdują siebie na drodze rozumowego rozpoznania męskości jako równi sobie cielesnie i sprawnościowo (?). W radykalnie zmaskulinizowanym sporcie mężczyzn hetero płciowych sportowcy homo płciowi byłiby im po prostu nierówni, by nie powiedzieć – sportowo gorsi. To ogólne wyjaśnienie popieram przykładem turnieju piłkarzy nożnych homo płciowych, jaki obserwowałem w czasie odbywającego się II Światowego Kongresu Socjologii Sportu (ISSA), w Kolonii, od 18 do 21 czerwca 2003 roku. Inne przykłady mogą przeczyć tej supozycji, ale tylko pozornie. Homoseksualista określający swoją tożsamość jako mężczyzna (pozostający w związku gejowskim) zostaje zwycięzcą w heteroseksualnej konkurencji mężczyzn. W związku partnerskim przyjmuje jednak płć męską. Jest zatem typem męskim wobec mężczyzny jako „kobiety” W rozpoznaniu gonadalnym, hormonalnym i genetycznym jest typem w pełni męskim. Spełnia zatem warunek heteroseksualności w sporcie dla mężczyzn, mimo że inaczej określa tożsamość płciową. Jego partner, jako typ kobiecy w związku gejowskim, nie miałby szans na dostęp do statusu prymusa w sporcie mężczyzn. Kobiety z mężczyznami nie konkurują, nawet kiedy z pierwszorzędowych cech płciowych wynika, że reprezentują raczej typ męski.

zowani przez sędziów-klasyfikatorów lub sami klasyfikujący siebie stroniczo, w kategorii im nienależnej – zgłaszają uroszczenia *prymusowskie* nierzadko w stylu furiackim i aroganckim (Oskar Pistorius)².

W pierwszym założeniu, które mówi, że człowiek jest równocześnie naturą kobiecą i męską za sprawą cielesnych różnic, chodzi mi o zwrócenie uwagi na ogólniejszy, banalny być może fakt, że gdyby nie istniało społeczeństwo, dzięki kobiecie i mężczyźnie właśnie, a w jego ramach dualny system kultury fizycznej, legitymizujący dobro cielesne kobiece i niezależnie dobro cielesne męskie – nie mógłby powstać socjolog (kultury fizycznej), na podobnej analogicznie zasadzie, na jakiej do „wyprodukowania fizyka jest potrzebny węgiel” Socjologowi odkrywającemu istnienie systemu kultury fizycznej zawdzięczamy możliwość przyjęcia tego założenia, choć wiemy jednocześnie, że socjolog nie może wyjaśnić pochodzenia systemu, jakim się zajmuje. Socjologowi pomaga w tym odkryciu metafizyk. Socjolog nie odkryłby też nigdy sportu (kobiecego i męskiego), gdyż nie istniałaby społeczność sportowa, która – jako rzeczywistość relacyjna – może trwać tylko międzypokoleniowo, z rodziców rodzaju żeńskiego i męskiego na potomków, dzięki nieustającej socjalizacji pierwotnej (rodzinnej) i wtórnej (szkolnej i stadionowej).

Co mam bliżej na myśli i dlaczego ten banał jest tak ważny. Było to w 1961 roku, kiedy – jak pisze M. Heller – na łamach czasopisma *Nature* Robert Dicke wyjaśniał, że „węgiel, jak dziś dobrze wiemy, powstaje we wnętrzach gwiazd jako wynik kilkukrotnego przepalania paliwa jądrowego” Kiedy umierają gwiazdy, powstaje w cyklu przemian węgiel, a z węgla (oczywiście z innych pierwiastków cięższych od wodoru i helu też) powstaje człowiek – istota myśląca. Kiedy człowiekiem tym jest fizyk czy astrofizyk, dochodzi do odkrycia, że węgiel mógł powstać w czasie „ 10^{40} naturalnych jednostek czasu. Przed tą datą nie moglibyśmy żyć, gdyż nie byłoby budulca”³. A co do socjologa, to jest równie banalne: nie mógłby „powstać” ów uczonec, gdyby nie zaistniało społeczeństwo – jakkolwiek rozumiane – „zrodzone” z człowieka zróżnicowanego kategorialnie – płciowo pod postacią kobiety z jednej strony i mężczyzny – z drugiej. Gdyby nie śmierć gwiazd, nie byłoby węgla, a gdyby nie węgiel, nie powstałby człowiek, i gdyby człowiek wcielony w „zadaną” mu

2 Klasyfikatorzy sportu niepełnosprawnych czynią wszystko, by sportowcy doświadczeni deficytami morfologicznymi (np. po amputacjach) i funkcjonalno-sprawnościowymi (np. po urazach kręgosłupa) uczestniczyli w agonie na zasadach równości. Kiedy wytworzenie klas równych sobie cielesnie sportowców nie jest możliwe, sportowcy biorą udział w konkurencji „bez konkurentów” Każdy konkuruje z sobą w danej konkurencji i finalnie każdy zostaje zwycięzcą. Tak było w konkursie pchnięcia kulą na igrzyskach paraolimpijskich w Londynie (2012), w którym przydzielono każdemu z 17 atletów złoty medal. Można powiedzieć, parafrazując powiedzenie, że każdy uczestnik igrzysk olimpijskich jest zwycięzcą, iż w sporcie niepełnosprawnych ideał rodziny sportowej zwycięzców osiąga swoją pełnię.

3 Cyt. za: M. Heller (2012) *Wszechświat jest tylko drogą. Kosmiczne rekolekcje*, Kraków, s. 106-107.

płciowość, nie powstałby potomek człowieczy, który – jako dziecko rodzaju ludzkiego – dostąpił relacji rodzicielskich i krewniaczych; i gdyby nie potomek z potomka – zawsze zrodzony z kobiety i mężczyzny, matki i ojca – postaci równych sobie godnością cielesnego pochodzenia, a różnych godnością płciowego przyrodzenia, nie mogłoby powstać społeczeństwo jako rzeczywistość relacyjna, nabywająca samoświadomości swego przeznaczenia oraz zdolności samoodtworzenia kulturowego (*autopoiesis*). Gdyby nie zachodziło gatunkowe samostanowienie jako skutek heteropłciowych relacji między kobietą i mężczyzną, nie powstałoby społeczeństwo, w którym jego heterogeniczni uczestnicy mogliby doświadczać kulturowej replikacji wzorów, norm i ideałów, będących dla nich źródłem osobistej i wspólnotowej tożsamości. Gdyby nie zróżnicowanie gatunkowe człowieka w płciowości kobiety i mężczyzny, i społeczeństwo nie byłoby możliwe, i kultura jako rzeczywistość samomyśląca nigdy by nie powstała, i żadna postać samomyśląca nie mogłaby wybić się na własną tożsamość; gdyby nie dualna płciowość człowieka – postaci wcielonej w materię tyleż ożywioną, co skończoną ku jej organicznemu obumarciu – nie byłoby we wszechświecie ani ludzkości, ani tym bardziej społeczeństwa. Z kobiety i mężczyzny bierze zatem początek każde społeczeństwo i przestaje zarazem ono istnieć w perspektywie międzypokoleniowej, kiedy nie staje z jakichś powodów albo mężczyzny jako ojca, albo kobiety jako matki, albo obydwójga na raz. Heteropłciowość człowieczego ciała jest metafizyczną zasadą społecznej realności. Kiedy jest ona chroniona moralnie i prawnie – jako warunek powstawania dobra wspólnego, dzięki któremu społeczeństwo może „przenosić się” z jego kulturową zawartością „w przestrzeń” międzypokoleniową – życie cielesne rodzaju ludzkiego jest rozpoznawane przez społeczeństwo jako jego najważniejsze dobro podstawowe, a sama cielesność wraz z tkwiącą w niej heteropłciowością jako substancjalny warunek życia społecznego. Odpowiedzialny za dobro wspólne człowiek heteropłciowy, respektujący porządek naturalny, a nawet podkreślający jego ontyczną ważność w logosie prawa naturalnego, sam wytwarza „kotwicę poznawczą”, dzięki której uzyskuje pewność trwania przy swoim ideale kulturowym. Jego zarządzanie sobą jest ze wszech miar konserwatywne, gdyż dokonuje się w poczuciu odpowiedzialności za dobro innych, z którego „powstać” może społeczeństwo jako sieć relacji osobowych. Heteropłciowe osoby mogą dzięki tej postawie „poświęcenia” siebie dobru wspólnemu przenieść swoją bytowość ku innym i w ten sposób sobie zapewnić trwanie w pamięci kulturowych dziedziców, a im samym – spadkobiercom – bezpieczne bytowanie, „zakotwiczone” w tym samym ideale. Co więcej, korzyść wynikła z tego poświęcenia samoograniczonej wolności w rozporządzaniu sobą (dla wspólnotowości) jest dlatego doniosła, że bytująca w sobie jednostkowa postać może rozwinąć się jako „dobra osoba” dzięki relacjom otwarcia się na dobro egzystencjalne innych. Kto żyje będąc drugiemu na

pożytek, ten sam wzrasta jako osoba, a przyczyniając się do wzrostu dobra wspólnego współtworzy społeczeństwo – byt relacyjny, u samych swych podstaw płciowo, a więc cielesnie spolaryzowany. Kiedy człowiek nie tylko jest kobiecy i męski – czego sobie pierwotnie nie zawdzięcza, a co w sobie zastaje jako naturze (istocie) swego przyrodzenia, ale także swoją cielesną płciowość afirmuje w działaniach doskonalących rozrodczą *fitness* (ku wzmoczeniu swej żywotności, zdrowotności i rozrodczej czystości) – ustanawia zróżnicowany wzór kultury fizycznej, uwzględniający naturę kobiecej i męskiej płci, a więc w rzeczy samej – kobiecej i męskiej cielesności. Ustanawia dwie różne normy dla tego samego wzoru-typu cielesnego – nazwijmy go biotycznym (życiodajnym), wraz z blisko z nim spowinowaconym wzorem witalnym (zdrowotnym) – uwzględniające różnice cielesne kobiety i mężczyzny. W ślad za tym wydziela w gimnazjone biotyczno-zdrowotnej *fitness* programy kobiecej i męskiej kultury fizycznej, które poprzedza pedagogią szkolnej inspiracji: czasami koedukacyjną, a najczęściej zróżnicowaną. W praktyce biotycznej *fitness* uczestnictwo w programach dokonuje się niezależnie, co nie jest równoznaczne z wydzieleniem przestrzennym gimnazjonów. Choć kobieta i mężczyzna są równi sobie naturą ludzką, to z uwagi na różnicujące ich naturę płciowe przypadłości muszą różnorodnie habilitować biotyczną i witalną *fitness*: ku wzmoczeniu żywotności i doskonaleniu zdrowotności cielesnej. Z tego podziału wynika zróżnicowanie wielu ról społecznych – na „kobiece” i „męskie” – a z całą wyrazistością daje on znać o sobie w aktorskich rolach agonicznych, w których cielesne kompetencje – jako naturalnie zróżnicowane – warunkują, a nawet przyczyniają sportowe zwyciężanie. Kiedy cielesne kompetencje agonistki/agonisty zostają rozumnie rozpoznane istotowo (somatycznie, gonadalnie, genetycznie) i istnieniowo (hormonalnie) oraz skategoryzowane na kobiece i męskie – zostaje spełniony ontyczny warunek różnicowania organizacji sportowej *praxis* w zakresie pracy treningowej: kobiecej i męskiej, oraz aranżacji świata sportowego współzawodnictwa na kobiecy i męski.

Oczywiście z faktu, że ktoś jest kobietą, a ktoś inny mężczyzną, nie wynika, że musi powstać dwukategorialny sport heteropłciowy. Sport powstaje z przyczyn kulturowych, a nie naturalnych. Jednakże natura przyrodzenia płciowego agonistów staje się warunkiem ontycznym zajścia kulturowego sportu, nie będąc nigdy jego przyczyną. A zatem, kiedy sport powstaje jako wydarzenie: a) ludyczne, jako ruch rekreacyjny świata pracy, b) odkupieńcze, jako ruch olimpijski ludzkości globalnej przeciwko złu wojny na rzecz pokoju i miłości społecznej – musi dojść do rozbicia jego jedni na dwie kategorie heteropłciowe. Muszą powstać dwa światy sportu: kobiecy i męski. I gdyby nawet aktualnie istniał tylko sport męski – jak chciał tego Pierre de Coubertin – to i tak potencjalnie kobiety emancypujące się ze świata męskiej tyranii ku swej społecznej równoprawności musiały doprowadzić do powstania sportu

swej kategorii. Nie mogły wtargnąć do sportu kategorii męskiej nie dlatego, że bramy stadionu były i tak dla nich zamknięte (niegdyś w starożytnej Grecji z powodu homopłciowej tyranii mężczyzn, a w nowożytnej Europie Francuzów i Anglików, za przyczyną wyniosłych patriarchalnie arystokratów – jedyńcych „właścicieli” porządku społecznego), lecz z tego względu, że nawet po ich rewolucyjnym wyłamaniu – założmy hipotetycznie – i tak stanęłyby na pozycji sportowo przegranych, zanim zaczęłyby się jakikolwiek konkurs. Agon, w którym cielesna materialność przesądza finalistycznie o wyniku związanej relacji społecznej, „żąda” od obydwu stron spełnienia zasady kategoryalnej równości. A ponieważ kobieta i mężczyzna nie są sobie równi kategoryalnie – jako cielesne byty substancjalne – nie mogą stawać do agonu sportowego na zasadzie relacji dwustronnej wzajemnej, gdyż żadna ze stron nie jest w stanie sprostać tej zasadzie obiektywnie. I żaden akt dobrej woli, ani szczerzej chęci, nie zmieni statusu ontycznego agonistów kategoryalnie różnych. O ile w agonie szachowym, w którym inne niż cielesne jakości konkurentów decydują o wygranej, byłoby to jeszcze możliwe (relacja między kobietą i mężczyzną związana na podstawie dwustronnie równej), to w agonie gimnicznym – że użyję tej nazwy starogreckiej, z braku lepszej współcześnie – niedopuszczalne, bo niedorzeczne. Kobieta nie wyzywa do konkursu sportowego mężczyzny, a i mężczyzna nie powinien unosić się ze swoją *hubris* na tyle, by żądać satysfakcji w konkursie z agonistką. Mężczyzna powinien wiedzieć, że konkurs z osobą fizycznie od niego różną kategoryalnie, by nie powiedzieć – słabszą, nie może mu przynieść dowodu jego wyższości jako prymusa wobec całej pokonanej reszty. Kiedy reszta się nie liczy, bo i tak nie może się równać z prymusem, bo jest od niego kategoryalnie różna, to i sam prymus – jeśli tylko nie jest chory z urojenia na punkcie swej wielkości – nie znajdzie uznania we własnym spojrzeniu na siebie. Zdrowy na umyśle agonista będzie szukał potwierdzenia dla swych aspiracji ku wielkości prymusa, zawiązując relację sportową na zasadzie równości kategoryalnej: mężczyzna wśród mężczyzn, a kobieta wśród kobiet. Kiedy jednak dochodzi *do sportu* między kobietą i mężczyzną, jak w przypadku tenisowej wojny między *nomen omen* kobietą z rodziny królewskiej King Billie Jean a Bobby Riggsem – wojny zwycięskiej dla kobiety – to musiało to wynikać z przyczyn pozasportowych. Gdzie, jak nie na oczach stadionowej widowni, zwielnokrotnionej telewizyjną perspektywą oglądu, mogło dojść do desperackiej obrony kobiecej godności, w której – w walce „na sport”, a nie na miecze czy topory – mogło dokonać się symboliczne upokorzenie aroganckiej części rodzaju męskiego. Sport ze swej natury nie znosi *płciowego mixu* (czego akurat z tenisową rozgrywką par mieszanych nie należy mylić, gdyż właśnie jest to szczególny przypadek sportowego konkursu, w którym płciowość – zmienna medialna modelu przyczynowego agonu – zostaje ontycznie zneutralizowana). Kiedy sport staje się relacją nierównych sobie podmiotów, za sprawą różniących

ich naturalnie sprawności cielesnych: kobiety i mężczyzny, musi się za tym kryć zgoła pozasportowa siła, która najpierw konfrontuje obie strony w pojedynku symbolizującym wojenną potyczkę, a następnie doprowadza do zwycięstwa *słabszej nad silniejszym*.

Co innego człowiek homopłciowy czy transpłciowy – wszystko jedno za jaką przyczyną doświadczony deficytem rozrodczej *fitness*, a podający się już to za kobietę, już to za mężczyznę, już to za oboje naraz. Kiedy w następstwie „zaczarowania” kulturowego swej płciowości albo jej bio-technicznej inwersji człowiek homopłciowy wchodzi do heteropłciowego kręgu sportowego swej kategorii (kobieta do sportu kobiecego, a mężczyzna do sportu męskiego) lub kategorii płci przeciwnej (kobieta do sportu męskiego, a mężczyzna do sportu kobiecego), zrazu czyni siebie ontycznie nierówną/nierównym wobec heteropłciowych agonistek/agonistów i przez to samo naruszającą/naruszającym fundamentalnie ważną w modelu przyczynowym sportowego agonu zasadę równości szans. I nie jest ważne, czy homopłciowa agonistka, ubiegająca się o prymat w świecie sportowym kobiet, startuje na własne życzenie z pozycji przegranej, a podszywający się pod kobiecość mężczyzna, „zakradający się” do heteropłciowego sportu kobiet już na starcie może ogłosić siebie zwycięzcą. W obydwu przypadkach dochodzi do naruszenia moralnego ładu sportowego współzawodnictwa, a zatem zniszczenia sytuacji aksjologicznej sportu. Gdzie zaczyna się oszustwo, jako manipulacja płcią, tam kończy się sport jako zabawa uczciwych w wyłanianie prymusa. Sport jest bowiem prostym układem normatywnym, w którym równi sobie moralnie agonisci, wyrównani uprzednio ontycznie przez arbitrow-klasyfikatorów na okoliczności równości kategoryjnej płci oraz równości substancjalnej ciała (wedle fazy jego wzrastania), stają do konkursu o zwycięstwo w zabawie do celu, jakim jest chępienie się godnością prymusa. Kto zaprowadza nierówność płciową, psuje zabawę. Rozczarowany spektator piętnuje go za oszustwo, zaś klasyfikator, jako strażnik zasady równego dostępu do sportowego dobra, wyklucza *arbitralnie* oszusta ze społeczności równych-w-uczciwości aktorów agonu.

Czystość *geneonomiczna* kobiecości i męskości jest warunkiem ontycznym konkursu, niezależnie w świecie sportu kobiet i mężczyzn. Nie jest jednakże warunkiem jedynym, „kierowanym” przez logos modelu przyczynowego sportu ku substancji cielesnej agonistek i agonistów. Warunek ten rozciąga się również na pozapłciową cielesność, w której substancja cielesna (*substantia corporea*) objawia się różnie u kobiet i mężczyzn swymi jakościami istotowymi (kostno-stawowymi, mięśniowymi, układami krążeniowo-oddechowymi) i jakościami istnieniowymi (stanami i procesami biochemicznymi, fizjologicznymi i sprawnościami ruchowymi). Cielesna męskość i kobiecość objawia się najpełniej w pierwszorzędowych cechach płciowych, ale jest najbardziej widoczna i trafnie rozpoznawalna dymorficznie w stanach wewnętrznych (różnych habitusach)

oraz samych działaniach (habitusach operacyjnych). W sposób naturalny płciowa cielesność obu kategorii różni się i zarazem jest tak samo podatna na zmianę zewnętrzną, wynikłą z celowego powtarzania działania samozwrotnego, kierowanego ku sobie (przez siebie), a mającego za zadanie rozwinięcie różnych władz ciała wewnętrznego i zewnętrznego. Oczywiście myślę o treningu sportowym, o tej nieustającej pracy doskonalącej agonistkę/agonistę w istnieniu i sprawnym działaniu; o pracy maksymalizowanej pod względem obciążeń, której wynikiem są przekształcenia mięśniowe, kostno-stawowe, doskonalsze przemiany komórkowe i tkankowe i procesy czynnościowe układów wszelakich, a zwłaszcza wydolnościowe funkcje naczyniowe, sercowe i oddechowe. Wszystko to sprawia, że ciało agonisty maskulinizuje się, nierzadko ku patologicznemu zwyrodnieniu (np. kulturysty), a u agonistki traci w niektórych sportach kategoriale własności – ku patologicznej dekompozycji kobiecości (np. kulturystek, atletek). Mimo tych deformacji, obserwowalnych w obydwu kategoriach, nie dochodzi do istotowego „zrównania się” sportowej męskości ze sportową kobiecością, płciowego zhomogenizowania. Także i w tych okolicznościach, w których kultura treningowa wyraża się niewyobrażalnie wielką siłą przekształceń substancji cielesnej na poziomie: cząstek elementarnych, genetycznym, komórkowym, tkankowym, narządowym, morfologicznym i motorycznym – decydujący „głos” w sprawie nieodzowności dwukategorialnego sportu wypowiada ostatecznie natura. I okazuje się też, że kiedy unaukowane technologie treningu sportowego „poprzestają” finalnie na przekształcaniu naturalnym substancji cielesnej, to mimo zawartych w nim norm nieludzkich obciążeń materii organicznej kobiety i mężczyzny nie mogą one doprowadzić do wykształcenia nowego istotowo człowieka agonu. W kulturze treningu sportowego nie ma takiej siły, która byłaby w stanie zmienić kategoriale, a więc istotowo, kobietę czy mężczyznę w jakieś ich ontyczne przeciwieństwo, albo – jak myślą co poniektórzy uzurpatorzy technologicznej władzy nad człowiekiem czy ludzkim rodzajem – w postać „nowego sportowca” Gdyby do tego dojść miało na drodze, na przykład, manipulacji technologicznej na żeńskim lub męskim genomie lub obydwu naraz – w imię postulatu „potworzenia” nowej kategorii sportsmenki i/lub nowego sportowca – musiałoby dojść do ukonstytuowania ahumanistycznego postsportu jako niezależnego ruchu społecznego wobec dwukategorialnego, lecz jednakowo humanistycznego świata sportu kobiet i mężczyzn. Kto by ośmielił się uruchomić taką maszynę biotechnologicznej produkcji postsportowców, musiałby postawić w stan nieustającej czujności służbę kontroli kategoriale sztucznych agonistów: by stało się zadość zasadzie sprawiedliwego wyłaniania prymusa spośród równych sobie agonistów, wyhodowanych oczywiście *in vitro*. W przeciwnym razie zawody biotechnologów o wyższość ich metod w postsportowej *praxis* traciłyby sens, a sami postsportowcy – żądni zwyciężania bez względu na cenę czy poniesio-

ne szkody własne – człowieczeństwo. Sport jest więc płciowy, a dokładniej *ciało sportowe* jest upłciowione na żeński i męski modus (nigdy jednocześnie, czyli obojnako) – stając się kulturową afirmacją dwoistej natury ludzkiej oraz jednoczesnym jej utrwalaczem; kultura sportowa, pieczętując heteropłciowość natury ludzkiej, sama czerpie z niej ontyczną trwałość, by trwać – mimo swej dwoistości – w jedni aksjologicznej. Nie byłoby sportu jako przejawu życia społecznego, gdyby natura ludzka nie była dwoicie spolaryzowana płciowo. Nie byłoby zresztą społeczeństwa jako międzypokoleniowej rzeczywistości relacyjnej, gdyby zróżnicowane płciowo osoby nie przekazywały swej płciowości potomkom, jako gatunkowym dziedzicom, z poczucia odpowiedzialności za łączące wszystkich dobro wspólne.

W związku z postulatem równości dostępu do udziału w społeczności sportowej sport musiał zastosować bardziej złożone kryteria różnicowania uczestników agonu, a uwzględniające ich niedostatki rozwoju fizycznego i umysłowego. By zasadzie równości szans w obydwu kategoriach stało się zadość, równi sobie agonistki i agonści musieli być dodatkowo sklasyfikowani przez sędziów-klasyfikatorów w sześciu co najmniej klasach niesprawności fizycznej, a w ramach tych klas – podklasach deficytów i defektów. Organizatorzy sportu wytworzyli w ten sposób podział kategoryalno-klasowy i podklasowy, który wyraża kategorie i klasy sportu: odmiany tego samego istotowo sportu. W jednej uczestnikami są kobiety, a w drugiej mężczyźni, dziewczęta i chłopcy, juniorki i juniorzy, seniorki i seniorzy, a wszyscy albo sprawni, albo niesprawni fizycznie, w pełni cielesnej lub defektywni, sprawni i niesprawni intelektualnie. Tylko w ramach tych odmian sportu – porównywalnych uczestniczek i uczestników: najpierw wewnątrzkategoryalnie, a następnie wewnątrzklasowo i wewnątrzpodklasowo oraz – na dodatek – rozwojowo, z uwzględnieniem wieku cielesnego, umownie oznaczanego kalendarzowo (z dokładnością do roku⁴), jest możliwa praktyka zmierzająca ku urzeczywistnieniu sportu jako utopii

4 Różnice wieku kalendarzowego w sporcie są wyznaczane z odstępem 12 miesięcy, co może prowadzić do złamania zasady równości dostępu do sportu, zwłaszcza w sporcie dzieci. W małej lidze hokeja na lodzie, w Kanadzie, chłopcy urodzeni pod koniec roku kalendarzowego mają mniejsze szanse na dostęp do sportu w kategorii młodzików (przejście do wyższej klasy następuje w wieku 9 lat) niż ich kalendarzowi rówieśnicy – urodzeni w pierwszych miesiącach tego samego roku kalendarzowego. Przez wiele lat „gwałcono” zasadę równości dostępu do sportu ze szkodą wobec chłopców młodszych o pół roku do 9 miesięcy. Regularnie natomiast promowano chłopców starszych o tyle samo miesięcy, jako rzekomo bardziej uzdolnionych, urodzonych w miesiącach: styczeń, luty i marzec danego roku kalendarzowego. Trenerzy nie rozumieli, że chłopcy tego samego rocznika różnią się biologicznie, a zatem w sporcie nie osiągają w tym samym czasie – mimo że wszyscy rówieśnicy jako dziewięciolatki trenują razem – takiej samej doskonałości sprawnościowej. Młodszy chłopcy, rozpoznani jako „nieutalentowani”, byli przez trenerów eliminowani, zaś starsi o kilka miesięcy – jako rzekomo utalentowani – byli przeznaczani do dalszego szkolenia. Trenerom zwrócili na to uwagę uczeni, którzy wykazali działanie rutynowe i bezrefleksyjne. Przykład podaję za M. Gladwellem (2009) *Poza schematem. Sekrety ludzi sukcesu*, Kraków, s. 29-45.

konkursu równych szans. Po uwzględnieniu tego zróżnicowania ontycznego i rygorystycznym przestrzeganiu dostępu uczestnictwa w kategoriach, klasach i podklasach staje się możliwe współdziałanie „podrodzin” sportowych na rzecz tego samego ideału aksjologicznego. Każdy jest inny, a mimo to wszyscy są w swoich kategoriach, klasach i podklasach podobni do siebie. W wyniku tej procedury różni międzyindywidualnie osobnicy zostają upodobnieni do siebie, lecz nigdy na tyle, by byli identyczni. Nie ma dwóch identycznych ontycznie osobników. Nawet bliźnięta jednojajowe nie są sobie równe, jako identyczne cielesnie. Ktoś więc może zarzucić klasyfikatorom gimnazjonu sportowego twórczenie ontycznej fikcji. Ktoś inny doda, że to i tak za mało równości ontycznej, że jest to podział „z grubsza”, a więc wytwarzający stan równości ontycznej z przybliżoną dokładnością, zwłaszcza gdy chodzi o jakościowe przypadłości genetyczne – narzucające wprost skojarzenia ze zróżnicowaniem rasowym substancji cielesnej człowieka.

Skoro niemożliwe jest wytworzenie stanu równości ontycznej wśród uczestników zawodów sportowych, to i same zawody stają się fikcją konkursu, gdyż nie są spełnieniem zasady równego dostępu do zwycięstwa. *Nie mam szans, powie biały sprinter, gdyż genetycznie jestem różny wobec czarnego konkurenta. Tak samo siebie doskonaliłem i tak samo racjonalizowałem wszelkie działania treningowe, a mimo to nie dorównałem ontycznie swemu czarnemu konkurentowi.* Podobnie pomyśli długodystansowiec – jakiś Europejczyk – kiedy stanie do konkursu z biegaczem płaskowyżu afrykańskiego. Tak też pomyśli niepełnosprawny sprinter, kiedy odkryje po przegranym biegu, że jego konkurent o krótszych kikutach uda posłużył się dłuższymi, a więc przysparzającymi więcej szans na zwycięstwo, protezami (Oliveira vs. Pistorius).

Czy sędziowie-klasyfikatorzy mogą podolać temu wyzwaniu w wyrównywaniu szans, skoro wiedzą, że w wytworzonych *kohortach* i *zgęstkach* rzekomo już równi ontycznie sportowcy nadal pod jakimś względem jakościowym czy ilościowym nie są do siebie podobni, by nie powiedzieć – różni. Różni do końca trwania procedury wyrównywania ontycznego konkurentów, to jest do fazy, w której pozostałyby dwie sportswomenki oraz dwóch sportowców tej samej konkurencji. A i tak musiałoby się okazać, że żelazne posługiwanie się logiką wyrównywania szans sportowych zmusza klasyfikatorów do unieważnienia utworzonej *zgęstki*, złożonej z dwóch konkurentów nierównych ontycznie, gdyż różniących się ostrością widzenia (w strzelaniu), długością włosów (w biegu sprinterskim) czy długością stopy (w pływaniu). Ostateczne rozwiązanie prowadziłoby do ujednostkowania każdej sportswomenki i każdego sportowca w każdej konkurencji. Sportswomenka konkurowałaby ze sobą i tak samo sportowiec byłby konkurentem tylko dla siebie. W rezultacie każda i każdy byłby usatysfakcjonowany – być może – możliwością identycznego dostępu do zwycięstwa „przed samym sobą”, ale nikt nie mógłby ogłosić siebie prymu-

ską i prymusem. Pierwszy przed sobą, byłby jednocześnie ostatni dla siebie. Zwycięstwo byłoby jednoczesnym doświadczeniem porażki. Sprawiedliwości stałoby się zadość, lecz jej odczuwaniu towarzyszyłaby, paradoksalnie, gorycz porażki w zwycięstwie. Nie byłoby to jednak zwycięstwo sportowe, gdyż ono przychodzić może jedynie w wyniku związanej relacji społecznej. Sport jest zabawą w wyłanianie prymusa. Gdzie są co najmniej dwie lub dwóch, tam sport może się dokonać jako fakt społeczny, jako relacyjna rzeczywistość międzypodmiotowa.

Z drugiej zaś strony, nazbyt szerokie uogólnienie ontyczne, zacierające ostatecznie także różnice płciowe społeczności sportowej, doprowadzić by musiało do unieważnienia zasady równości dostępu do zwycięstwa przez każdego. Tym razem niesprawiedliwości sportowej stałoby się zadość. Gdyby bowiem wszyscy wzięli udział w tym samym konkursie, bez względu na różnicę płci (kobiety z mężczyznami), różnicę wieku osobniczego (juniorzy z seniorkami), różnicę zupełności cielesnej (sprawni z niepełnosprawnymi) i wszelkimi innymi różnicami cielesno-płciowymi i somatycznymi oraz sprawnościowymi – prymus (a zakładam, że byłby to mężczyzna) i tak musiałby odnieść się porównawczo do „mniej więcej” równego sobie ontycznie konkurenta, by napawać się tożsamością pierwszego z porównywalnie równym sobie. Tak się dokonuje na przykład „uogólniony ontycznie” bieg maratoński, w którym i tak ostatecznie sędziowie-klasyfikatorzy – nadający wydarzeniu usensowny humanistycznie akcent przez wyrażenie swego respektu dla zasady równego dostępu do sportowego dobra – dzielą wszystkich na kategorie heteropłciowe, a następnie tworzą znane im klasy i podklasy, w których znajdują miejsce dla każdego, kogo uznają za ontycznie równego pozostałym. W rezultacie każdy zostaje ogłoszony zwycięzcą w swojej kategorii, klasie i podklasie.

Jak widać obydwa rozwiązania zapowiadają nedorzecznosc. Pierwsze doprowadza do unicestwienia sportu jako realności społecznej, a drugie – owszem – choć czyni sport fenomenem społecznym, to zarazem unicestwia jego ludzki sens, za sprawą klasyfikatora, ignorującego zasadę równego dostępu do tego samego dobra – potencjalnie należnego każdemu. Mówię o tym na zasadzie ćwiczenia logicznego. Wiem przecież, że sport nigdy nie został ani na tyle zindywidualizowany, ani na tyle uogólniony ontycznie, by sam unicestwił siebie jako zabawa równych sobie ontycznie i moralnie konkurentów.

Jak wspomnieliśmy, drugie założenie rozumowania regresyjnego mówi o nieodzowności niezależnego doskonalenia cielesnej i płciowej *fitness* przez sportowe kobiety i mężczyzn. Obie kategorie sportowej płci muszą doskonalic się cielesnie w niezależnych systemach kultury fizycznej przez własne działanie na sobie (działanie samozwrotne), gdyż konstytutywne cechy natury każdej kategoryjnej postaci sportowej: młodziczki i młodzika, juniorzy i juniora, seniorki i seniora – zróżnicowane w zakresie płciowej i pozapłciowej cielesności – wy-

muszą przyjęcie przez współczesnych trenerów dwóch typów racjonalności projektującej i normatywnej: „tylko dla kobiet” i „tylko dla mężczyzn” oraz – w konsekwencji – rozszczepienie ich roli społecznej *paidotribes* i *gymnastes* na kobiecą i męską. Trenerzy nowożytnego sportu taki podział niejako zastali w społecznej praktyce gimnazjonu sportowego, choć niekoniecznie musieli różnicować się kategorialnie w ramach tworzonego przez siebie środowiska (osób o tej samej roli społecznej trenerek i trenerów) według kategorii płci: na trenerki przeznaczone do roli operatorek cielesności sportswomenek i trenerów jako operatorów doskonalenia cielesnego sportowców: kobiet dla kobiet i mężczyzn dla mężczyzn. W praktyce gimnazjonu sportowego kobiet uzwyczajnił się wzór męski trenera wobec kobiet i nie przyjął się wcale wzór kobiecy trenerki wobec mężczyzn. Mamy tu zatem do czynienia nie tyle ze świadomym odstępianiem od zasady równych szans, co jej samowolnym i bezwiednym naruszeniem na drodze wielopokoleniowego wszczepiania w mentalność społeczności gimnazjonu, przez dominującą w fazie przedemancypacyjnej męską jej część, wzoru trenera dla wszystkich, jako swoistego reliktu habitusu operatora sportu kobiet i mężczyzn. Tymczasem rygorystyczna aplikacja zasady równych szans do sportowego agonu, której respektowanie ma czynić sportswomenki i sportswomenów równymi sobie ontycznie – w ramach swej kategorii płci – narzuca logosowi gimnazjonu dwupodział *gymnastes* na: trenerki dla sportswomenek i trenerów dla sportowców. Udział trenera w sporcie kobiet nie wyróżnia kobiet jako potencjalnych prymusek bardziej niż trenerki wobec kobiet; nie przysparza im więcej szans trener – mężczyzna, niż uczyniłaby to kobieta jako trenerka wobec kobiet. Kto to wie i czy ktokolwiek empirycznie hipotezę „wyższości” trenerskiej mężczyzn badał? Tego nie wiem. Nie mam jednak wątpliwości, że zwyczajowa infiltracja świata sportu kobiet przez trenera – postać niewątpliwie różnej kategorii płci wobec płci kobiecej – wprowadza nierówność w dostępie do sportowego dobra, jakim jest wyróżnienie się statusem prymuski. Potencjalne prymuski nie są sobie równe ontycznie, w zakresie cielesnych przypadłości, a kto wie, czy nie mentalnych i emocjonalnych, kiedy operatorem ich gimnazjonu pozostaje mężczyzna, a tylko gdzieś tam kobieta. I nie jest ważne, jaki wynik sportowy uzyskiwałyby kobiety trenowane przez kobiety. Istotne byłoby to, że rygorystycznemu zastosowaniu zasady równych szans stałoby się zadość, co by oznaczało, że status sportowej prymuski byłby tak samo potencjalnie osiągalny przez każdą sportswomenkę.

Równie ważne jest i to, że strażnikami równości ontycznej ascetek jako sportswomenek są mężczyźni, analogicznie na takiej samej zasadzie – „dziedzictwa tradycji” – na jakiej ginekologami zostają mężczyźni, a rzadziej kobiety. Dlaczego nie klasyfikatorki wobec ascetek i klasyfikatorzy wobec ascetów. I znowu dopowiem, choć nie dysponuję empirycznym argumentem, uzasadniającym nieodzowność dwupodziału tej roli społecznej, że rozumowanie regresywne,

jakim tłumacząc różne racje finalnego następstwa sportowego, takie właśnie rozwiązanie, jako logicznie uprawnione, ukazując.

A zatem dopiero po uwzględnieniu kategorii, klas i podklas sportowych można mówić o sporcie jako potencjalnej utopii konkursu równych szans. Oczywiście, w każdej odmianie ontycznej sportu urzeczywistnianie ideału następuje niezależnie. Ale natychmiast powstaje pytanie, dlaczego – mimo spełnienia tego warunku „równości ontycznej” – praktyka sportowa nie osiąga ideału albo nawet niekiedy mu przeczy? Jak wyjaśnić, dlaczego, za jaką przyczyną, ideał aksjologiczny sportu równych sobie ontycznie konkurentek i konkurentów osiąga się z mozołem albo niekiedy niweczy się jego humanistyczną treść dawno po czasie, jak w przypadku sławnego kolarza, zdemaskowanego jako oszusta, czy sprinterów oskarżonych o nadużycia dopingowe.

Czy i tym razem logika rozumowania regresywnego może doprowadzić do odkrycia racji innych niż ontyczne w wyjaśnianiu prawomocności utopii konkursu sportowego i tym samym rozświetlić przyczynę sportowego fiaska? Czy nie należy skierować uwagi na osobę i podmiotowość ascetki/ascety – jako użytkowników gimnazjonu – a następnie na ich przetworzoną postać, jako uczestników stadionu. W obydwu rolach te same osoby społeczne mają wiele do dodania swym ontycznym przypadłościom i stanom (nie tylko w zakresie cielesnej fizyczności, ale także duchowości, rozumności, roztropności, woli-tywności czy emocjonalności) oraz wiele do ukazania w działaniu sportowym, jako transgresyjnej ekspresji agonicznej mocy, poddawanej lub nie normatywnej regulacji sumienia, a więc bardziej lub mniej upełnomocnionej do moralnego szacowania swych czynów.

Tak oto, po przedstawieniu dwóch założeń rozumowania regresywnego, mówiących o: 1) nieodzowności kategoryjnego podziału sportu na „świat sportu kobiet” i „świat sportu mężczyzn” oraz 2) dwukategoryjnego doskonalenia cielesnego, w gimnazjonach ascetek i ascetów sportowych, jako praktyk zapewniających równość ontyczną agonistek i agonistów, możemy zastanowić się raczej pokrótce nad podmiotowością sportową jako racją wyjaśniającą finiszowy skutek zawodów (Y), racją tłumaczącą zarazem spełnianie się konkursu jako swoistej utopii sprawiedliwości; *pokrótce*, jako że nauka o przyczynach sportowego *finalu* (Y) – znana powszechnie jako teoria sportu – wiele wyjaśnień do interesującego nas modelu przyczynowego już wniosła.

A więc musimy przede wszystkim zaufać prostemu założeniu antropologicznemu, gdyż inaczej nie wypada w świetle niepodważalnych na gruncie metafizyki uzasadnień, które ukazują postać sportową jako istotę racjonalną, wewnątrznie wolną, zdolną zarówno do doskonalenia każdej warstwy i sfery swego jestestwa: od materialnego, substancjalno-cielesnego, procesualnego i sprawnościowego po duchową, intelektualną i psychiczną; zaufać, że rozpa-tryjemy tu przypadek dynamicznej, samotworzającej się postaci jako osoby po

prostu, która może postąpić dowolnie w rozporządzaniu sobą wedle własnej woli, a zwłaszcza zdolnej do powiększania swych ontycznych zasobów cielesnych; zdolnej do dodawania sobie nowych doskonałości. Sportowiec jest przede wszystkim osobą, co znaczy, że rozumnie przyczynia się do ontycznego wybicia się na indywidualność, gdyż w prosty sposób rozpoznaje, że pośród równych przed zawodami – jak go sędzia-klasyfikator rozpoznał i nazwał – wybicie się na sportowego prymusa będzie zależało od uzyskanej przewagi ontycznej w gimnazjonie nad konkurentem, przed sportowym zajściem. Kiedy więc zrównani ontycznie przez klasyfikatora ascetki i asceci zaczynają pracę treningową, której celem jest pomnożenie naturalnego, substancjalnego stanu posiadania, równość tę znoszą natychmiast. Podejmują niejako wyścig o różność, którą metaforycznie porównują do „wyścigu zbrojeń” (przez „uzbrajanie” siebie w agoniczne kompetencje), a nawet – kiedy upolityczniają cielesność jakąś ideologią, jak ma to miejsce w gimnazjonach państw autorytarnych – prowadzą „wojnę technologiczną” w całych sztabach projektantów, doradców i fachowców. W zależności od stopnia i zakresu racjonalizacji metod pracy treningowej, a zwłaszcza głębi ich naukowej optymalizacji, ascetki i asceci już podejmują wyścig, w trybie zaocznym, w którym skrywają zapowiedź zwycięstwa w wyścigu stadionowym. Mają do tego prawo pracownicze – prawo do doskonalenia swojej przyrodzonej własności – o tyle, o ile pozostają w zgodzie z logosem prawa naturalnego. Ponieważ pracują dyskretnie, w tajemnicy przed konkurencją, nikt nie wie – ani sędzia-klasyfikator, ani nawet ostatecznie trenerka/trener – na jakiej drodze: naturalnej (zgodnej z prawem naturalnym), a więc dozwolonej, czy sztucznej, a zatem niezgodnej z porządkiem natury, ontyczna wybitność „wchodzi” w ich stan posiadania. Kiedy działanie sprawcze ascetki/ascety nie narusza, bo nie ma naruszać – na mocy postanowienia wewnętrznego – natury przypadłości cielesnych, można powiedzieć, że jest to postępowanie zgodne z godnością osoby; że jest to działanie chwalebne (chwalić może siebie pracownik), gdyż działania treningowe ascetki/ascety, będące przeciw odmianą czynności pracowniczych, umożliwiają jej/jemu samej/samemu brać udział w godności osoby. Tak szanuje pracownik swoją cielesną przyrodzoność, że przydając jej czynnie – w toku treningu – jej nowych doskonałości, w niczym nie uchybia jej naturalnej istocie, a nawet więcej – afirmuje ją, na swój sposób podziwia to, co dodał do jej doskonałości. Ascetka/asceta jest więc godna/godny siebie, bo jest względem siebie uczciwa/uczciwy. Jako uczestniczka/uczestnik we własnej godności osoby, uczciwa ascetka i uczciwy asceta mają prawo oczekiwać, że ich potencjalni konkurenci stadionowi postąpią z sobą identycznie. Nie miałyby sensu ich wytężona praca nad sobą, gdyby konkurentka/konkurent dodała/dodał do swej własności ontycznej nowych doskonałości z naruszeniem istotowych cech ludzkiej natury, ignorując logos prawa naturalnego. Kiedy nakazana przez sędziego-klasyfikatora równość ontyczna, będąca rękojmią równego dostępu do

finalnego dobra agonu, zostaje udoskonalona z naruszeniem prawa naturalnego, zawody sportowe stają się niedorzeczne. I nie ma znaczenia, czy dopuszczający się gwałtu na naturze swej cielesności przegrywa, a nie – jakby się spodziewał – zwycięża. Mógłby przecież powiedzieć w rozmowie z sobą: *sprawy nie ma, nie wygrałam/wygrałem, nikomu niczego nie odebrałam/odebrałem, a zwłaszcza nie pozbawiłam/pozbawiłem szans na udział w godności prymusa*. Otóż w żadnym razie nie. Bo jeśli o godności osoby – kimkolwiek jest w roli aktora: sportowcem, lekarzem, matką – stanowi zdolność do posłuszeństwa wobec logosu prawa natury (sportowiec nie śmie nawet pomyśleć o zmianie struktury genomu, lekarz – o eutanazji, a matka – o aborcji), to w przypadku niegodziwego sportowca zachodzi taka właśnie okoliczność – czynienia zła na drodze wypowiedzenia posłuszeństwa logosowi prawa natury. Zmieniający istotę natury cielesnej sportowiec czyni moralne zło przez to, że uchybia własnej godności osoby, oraz dlatego że uniemożliwia potencjalnie i realnie spełnienie się w godności sportowej swemu konkurentowi. Wyrządza zło sobie i drugiemu, mimo że nikt, poza sprawcą niegodziwości moralnej, nie wie o zaistniałym sprzeniewierzeniu. Nie wie, ale może się dowiedzieć, o zaistniałym oszustwie, które skutkowało naruszeniem zasady równych szans na udział w godności sportowego prymusa. Od kogo? Od bliskiego sprzymierzeńca sędziego-kłasyfikatora – sędziego-policjanta antydopingowego, który dogląda dostępnymi sposobami, czy doskonalenie ontycznych zasobów nie naruszyło istoty natury cielesnej, zaburzyło jej stany czy sprawności. W istocie sędzia-policjant, który stwierdza o naruszeniu porządku natury, a więc zaistnieniu niedopuszczalnej nierówności ontycznej między konkurentami, oznajmia o naruszeniu ładu moralnego. Choć zazwyczaj komunikuje mistyfikująco o zaistniałym „dopingu w sporcie”, to w gruncie rzeczy w jego narracji jest ukryty przekaz o dokonanym oszustwie, czyli podstępnym udzieleniu sobie dobra ontycznego i pomniejszeniu szans konkurenta w dochodzeniu do statusu prymusa. Następuje dyskwalifikacja na zasadzie wykluczenia oszusta ze społeczności sportowej. Sędzia dopingowy komunikuje społeczności stadionowej, że pośród równych moralnie w uczciwości konkurentów nie ma miejsca dla tych, którzy naruszając ustalony porządek w równości ontycznej, uniemożliwiają innym dostępowanie do udziału w godności prymusa.

Wynika z tego rozumowania, że o racji stadionowego dobra stanowi godne w uczciwości postępowanie ascetki/ascety w fazie poprzedzającej zawody. Zanim dojdzie do zawodów, już będzie wiadomo, czy spełniają one postulat równości moralnej konkurentek/konkurentów, a tym samym postulat równego dostępu do zwycięstwa. Równi moralnie w uczciwości ascetki/asceci staną do zawodów jako godne siebie osoby, mimo że niewątpliwie – i o to chodzi – wykażą się różnicowaniem ontycznym. Pokazujemy więc kolejny *faktor* modelu przyczynowego sportu, który lokujemy w sumieniu sportowym ascetki/ascety.

Od czystości sumienia w wolnym, ale bynajmniej nie dowolnym, gdyż zgodnym z logosem prawa naturalnego, zależy fenomen utopijności sportowego konkursu. Może się on dokonać pod warunkiem, że ascetka/asceta, zanim staną do zawodów – uszanują swoją godność osoby w działaniach maksymalizujących potencjał ich natury cielesnej.

Na koniec chcę zwrócić uwagę na jeszcze jedną rację tłumaczącą fenomen utopii, tak samo ulokowaną w sumieniu, którą można nazwać – w języku metodologii – moderatorem zmiany społecznej, idącej ku spełnianiu się konkurentów w utopii sportowej. Moderatorem jest uczestnik zawodów, który – spełniając się w roli aktora, oczywiście, żadnego sukcesu w zwycięstwie – korzysta z dóbr będących jej/jego osobistą własnością oraz jednocześnie umożliwia konkurentce/konkurentowi wolną eksternalizację jej/jego wszelkich kompetencji. Moderator zawodów to nie tylko sędzia-arbiter – dogląający poprawności odniesień osoby wobec osoby – ale w pierwszej instancji (rozprawy z własnym sumieniem jako sędzią wewnętrznym) przede wszystkim sam sportowiec/sportsmenka, godziwie odnoszący się do konkurenta/konkurentki, czyli – w rzeczy samej – urzeczywistniający postulat moralnej czystości. Oto równi sobie moralnie w uczciwości asceci i ascetki – opuszczający gimnazjon i przybywający do stadionu – nadal postępują względem siebie godziwie (szanują swoją godność) oraz umożliwiają spełnianie się w godziwości *fairness* swym konkurentom/konkurentkom. Kiedy z różnych względów nie są w stanie podołać normie czystych zachowań oraz utrudniają to innym, muszą poddać się regulatywnej sile wpływu moderatora zewnętrznego. Sędzia-moderator dogląda, by równość w czystości czyniła konkurentów tożsamymi moralnie. Sprzyja tym samym urzeczywistnianiu sportowej utopii. Wymusza nierzadko na sportowcach równość w godziwości, stawiając ich w paradnym szyku ugrzecznionych agonistów: kłaniających się nisko swym ofiarom czy pogłaskujących pokrzywdzonych. W tym zakresie, wcale nie małym – zważywszy na fakt, że do stadionu przybywają anomijni sportowcy, napawani – jak wspomniałem – habitusem samowolnej rozwiążności (jak pływacy olimpijscy o podwójnej moralności, którzy po zawodach odnajdują się równie dobrze w domach publicznych) – sędzia-moderator urasta do rangi *X Factora*, jako racji tłumaczącej pomyślność konkursu sportowego jako utopii. Zdarza się też, że dopiero w zawodach dochodzi do odkrycia, że sportowcy nie są do siebie podobni – *similes*, tożsami jakościowo, i nie są sobie równi – *aequales*, tożsami ilościowo. Opisy przypadków musimy pominąć, jest ich nazbyt wiele. Sędzia-moderator zastępuje w takich przypadkach sędziego-klasyfikatora, ale jednocześnie – korzystając z okazji, gdyż taka jest jego powinność – demaskuje niegodziwość oszustów, co to wywołując nierówność ontyczną, popadają w sprawiedliwość pychy i próżności.

Finalne następstwo sportowe, spełniające się w ambitnym postulacie utopii sprawiedliwej redystrybucji dostępu do dobra zwycięzcy, tłumaczy się wieloma racjami. Wydawałoby się, że teoria sportu wraz z wieloma naukami wspierającymi wyjaśniła przyczynowość jego zajścia wystarczająco. I ja tak sądziłem, naiwnie ufając upełnomocnieniu moralnemu sportowców, jako racji realnego, a nie wyłącznie potencjalnego czy normatywnego (życzeniowego) osiągnięcia tego ideału. Wystarczy – tak sądziłem – że sportowcy przystąpią do zawodów co najmniej jako ugrzeczniejsi w przyzwoitości odniesień do konkurentów i szanujący własną godność, a utopia sportu dokona się w swej tajemniczej *autopoeisis* – jak suponują znawcy teorii systemów społecznych – mimo przeciwności zewnętrznych, idących najczęściej z ośrodków władzy politycznej czy wewnętrznych trudności, objawiających się namiętnościami skorumpowanych *zarządców* sportu. Nie pomyślałem, że każde pokolenie *dzieci sportu*, włączane w życie gimnazjonu, objawia się dorosłym, co prawda, innym habitusem etosu rodzinnego, ale i tak – mimo różnych przeświadczeń, opinii i nawyków wyniesionych z domu – wszyscy uczestnicy zawodów włączają się w życie sportowe z osobliwym dla swego „czasu” – którego wybrać sobie nie mogli – sposobem pojmowania wolności i korzystania z niej. Obyczaj sportowy zakłada ascetyczny wysiłek pracowniczy oraz rygorizm moralny. Po dwakroć zakłada więc ograniczenie wolności, a poniekąd i zniewolenie fizyczne, wytwarzane „obciążeniami” treningowymi koszarowych zgrupowań i obozów. Mało w tym przyjemności i jeszcze mniej wolności, a dużo poświęceń i wyrzeczeń. Zupełnie inaczej niż w życiu pozasportowym, w którym rówieśnikom składa się obietnicę łatwej, bo wolnej od wszelkich zobowiązań względem siebie i innych, drogi do szczęścia.

Nie zauważyłem więc na początku tworzenia modelu przyczynowego, że do systemu społecznego sportu przybywa „nowe dziecko” – wytworzone przez świat liberalno-demokratycznych uzurpacji wolnościowych – z którym trudno będzie nawiązać porozumienie *rodzinne* w kwestii wolności, moralności, ideałów i autorytetów. Nie uwzględniłem więc racji, która – jak się miało okazać – stanowiła klucz do zrozumienia przyczyny humanistycznego fiaska zawodów, a więc dekonstrukcji sportowej utopii.

Podsumowując więc, zastosowany model rozumowania regresywnego pokazał, że o pomyślności utopii sportowej, jako odmianie utopii społecznej, decyduje starszyzna sędziowska, zdolna do autorytatywnego zarządzania dobrem sportowej rodziny. Jest jakaś racja w tym, że społeczność sportową nazywa się *rodziną*. Czy trwanie w relacjach rodzinnych nie jest zadaniem utopijnym, a więc poniekąd trudnym, a jednak ostatecznie wykonalnym? I choć nadzieją rodziny są dzieci, także „rodziny sportowej”, to nie one, tylko dorośli jej członkowie –

zdolni do przyjęcia odpowiedzialności za dobro wspólne – strzegą w niej ładu oraz nadają wszystkim poczynaniom sens. Podobnie pomyślnie przeprowadzanie konkursów w rodzinie sportowej, idące ku spełnieniu się w jej ideale, jest o tyle możliwe, o ile porządku doglądają w niej: a) sędziowie-klasyfikatorzy – odpowiedzialni za stan równości ontycznej ascetek i ascetów gimnazjonu, b) sędziowie-policjanci – odpowiedzialni za naruszanie porządku ontycznego przez dopingowych oszustów oraz c) sędziowie-moderatorzy – odpowiedzialni za stan równości moralnej konkurentek i konkurentów.

Gdyby nie udział starszyny sędziowskiej w autorytatywnym wymuszaniu na sportowcach paradowania w szyku równości moralnej oraz równości ontycznej, to nie ujmując samym sportowcom udziału w podmiotowym tworzeniu konkursu sprawiedliwych – wszak wielu objawia się mentalnością konserwatywną – to można przypuszczać, że wolnościowo, relatywistycznie, indywidualistycznie i egoistycznie usposobieni sportowcy nie podłaliby sami humanistycznemu zadaniu.